

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

15

Teraz postanowiła święcie zawrócić głowę przystojnemu, eleganckiemu, światowemu młodzieńcowi, tem więcej, że Ludwik traktował ją trochę z góry i jakby drwiąco.

Różyczki ze swej strony zamierzał również rozkochać ładną „kozę“, która ośmieliła się czasem robić lekceważące minki. W charakterze jego było dużo zarozumiałości, więc nie wątpił, że mu się to uda.

Rozpoznał się pomiędzy nimi drażniący flirt, podwójna, fałszywa gra, w którą wkładali oboje dużo nerwów, a nie uczucia.

Anielka zapytała raz Ludwika, jak mu się podobają Józia.

— Ładna... — odpowiedział — Ale to nie mój typ...

— A jakiż jest twój typ?

— Trudno to określić... W każdym razie zupełnie inny. Teraz w Krakowie spotkałem na ulicy kilka razy pannę...

— Naturalnie ładną — wtrąciła z uśmiechem Walczakowa — bo na brzydką wiem, żebyś nie zwrócił uwagi.

— Istotnie jest ładna, nawet piękna. Przyznam ci się jednak, że w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na ogólną harmonię jej rysów. Tylko oczy jej mnie uderzyły! Powiadam ci, co za oczy! Dwie głębie... I wyraz twarzy nadzwyczajny. Tak! Zdaje mi się, że to byłby mój typ... Ale cóż, kiedy zniknęła, „jak sen jaki złoty“...

— Może spotkasz ją jeszcze... Może już jako narzeczoną albo mężatkę...

Ludwik niewiedząco dłużej rozgniewał się.

— Ach! Tobie się zdaje, że żadna panna niema nic lepszego do roboty, jak zaręczać się i wychodzić za mąż. Istnie babska mania swatania! Dziwię się, że mnie jeszcze z Józją nie swatają.

— Alż, Ludwisiu, czego ty się irytujesz?

Ludwik opamiętał się i zawstydział, że podniósł głos.

— Przepraszam cię, Anielko... Nie gniewaj się. Ja tak jakoś...

— No, rozumiem. Nie spodobała ci się myśl, aby ta panna, w twoim typie, wyszła za mąż... Musisz się jednak na tę ewentualność przygotować — roześmiała się Anielka trochę przekornie.

Na tem skończyła się rozmowa. Ludwik powrócił do swego flirtu z Józją.

— Im bliżej Michnik był dworu, tem większe ogarniało go zdenerwowanie.

— Józia tam z nim... Może sam na sam...

Ne zawiodły go przeczucia.

Zbliżyła się już łódka, która sunęła po gładkiej, spokojnej, lśniącej w słońcu powierzchni stawu dworskiego.

Wiosła dziurzyła kobieta, a naprzeciw niej bardzo blisko siedział mężczyzna.

Twarzy nie można było jeszcze rozpoznać, ale Michnik poznał Józję po charakterystycznym przechyleniu głowy. Mężczyznę nie mógł być nikt inny, jak tylko Ludwik Różyczki.

Michnik zaczął teraz biec niemal pędem w stronę stawu.

Już teraz wyraźnie widział Józję, która z wprawą rytmicznie uderzała wiosłami o wodę. Dziewczyna mówiła coś z zalotnym uśmiechem do swego towarzysza, który widocznie, aby słyszeć lepiej, pochylał się ku niej nieco.

Michnik natę zapragnął krzyknąć tak głośno, aby tamtem usłyszał.

— Nie chcę! Nie pozwolę! Ona moja! Precz mi od niej!

Opamiętał się jednak, że nie może przecież robić awantur i ośmieszać się.

Długą chwilę ścigał oczyma płonącymi gniewem i zazdrością łódkę, która płynęła równo, gładko, spokojnie...

Wreszcie z trudem oderwał zwrok od tego widoku. Śmiałym, pewnym krokiem, jak człowiek, który powziął stanowczą decyzję, podążył do dworu.

Michnik poszedł prosto do gabinetu pana domu.

Walczak przeglądając księgi rachunkowe. Na widok wchodzącego wyciągnął do niego rękę z przyjaznym uśmiechem.

— Jak to dobrze, że pan przychodzi, panie Władysławie. Właśnie żona moja chciała pomówić z panem, poradzić się... Ona zamierza urządzić tutaj wy pożyczalnię ksiąg dla chłopów i...

Kazimierz urwał, bo spostrzegł dziwny wyraz twarzy nauczyciela.

— No, pogadamy o tem innym razem, bo coś mi się zdaje, że pan dzisiaj nieusposobiony do mówienia o wypożyczalni. Panu coś jest, panie Władysławie... Niechże pan siada!

Michnik usiadł. Wzburzony i zdenerwowany obracał machinalnie kapelusz w rękę i szukał w myśli słów. Nie wiedział, jak ma wypowiedzieć to, z czem przyszedł — nie wiedział od czego zacząć, czuł bowiem, że cokolwiek powie, będzie to jednocześnie zuchwałem i śmiesznem.

Walczak podsunął gościowi papierosy.

— Proszę, niech pan zapali i wypowie, o co panu chodzi. Widzę, że pan ma na końcu języka jakieś słowa... No, niechże pan wali prosto z mostu, bez długich namysłów! Co się stało?...

Przyjacielski, poufaty ton tych słów ośmielił Michnika. Nie namyslał się już dłużej, zaczął:

— Panie Kazimierzu, mnie bardzo przykro, że ja muszę trudzić pana moimi osobistymi sprawami, ale doprawdy muszę... Ja chciałem pana prosić, aby pan kuzynowi swojej żony powiedział... Ja nie pozwolę na to, żeby on pannę Józję bałamucił! — wykrzyknął nagle podniesionym głosem. — Jąbym mu już sam dawno dobitnie powiedział, tylko, że nie chciałem wszczynać w domu państwa awantury!

Michnik przeraził się własnej zuchwałości. Co będzie, jeżeli teraz Walczak zapyta go, jakim prawem występuje z podobnymi pretensjami, a następnie za drzwi wyrzuci?

W takim razie stracił nie tylko przyjaźń znacznych ludzi, ale i możność widywania Józji!

Walczak drgnął żywo. Podmógł głowę i utkwiał swoje rozumne, piękne oczy w twarz gościa.

— Cieszy mnie to, że pan pierwszy o tem zaczął. — rzekł po chwili — Ja już dawno pragnąłem pomówić z panem szczerze w tej kwestyi, ale nie śmiałem wdierać się przemocą do pańskiego zaufania. Teraz powiem, co o tem wszystkiem myślę. Przedewszystkiem, jeżeli chodzi o kuzyna mej żony, to jestem przekonany, że ani Józia w nim się nie kocha, ani też on nie zajął się nią poważnie... Oni bawią się tylko w głupią grę towarzyską, zwaną pospolicie flirtem... Ja zaś nie mogę zabronić gościom, aby się bałamucili nawzajem, jeżeli im to przyjemność sprawia... Bo chyba do tego czasu przekonał się już pan, że panna Józia kokietować umie i lubi...

Michnik milczał zawstydzony i zmieszany. Rozumiał, że Walczak ma słuszość, ale głośno przyznać tego nie chciał. Wzdrygał się przed tem, by oskarżyć Józję o rozmysłną, wyrafinowaną kokieteryję.

Zapewnienie, że Różyczki nie zakochał się, uspokoiło go trochę, choć nie zupełnie. Jakoś wierzyć mu się nie chciało, aby można było być tak blisko Józji, patrzeć codziennie w jej oczy i nie zakochać się!

— Chyba, że kocha inną. — pomyślał.

— Nie pytam pana — ciągnął dalej Walczak — czy pan jest już narzeczoną Józji, bo wiem, że gdyby tak było, nie do mnie, ale do niej wprost pan by się zwrócił... Nie wątpię jednak, że pan zamierza się z nią ożenić... Proszę bardzo, niech mi pan powie otwarcie. Chcę z panem pomówić, jak człowiek szczerzy, życzliwy, jak przyjaciel... Pan mi tego za złe nie wzię, prawda?

— Ależ ja nie mam bynajmniej zamiaru ukrywać się... Gdybym mógł pannę Józję nazwać moją, to byłoby to dla mnie... Oświadczę się w najbliższym czasie! — dokończył stanowczym tonem.

— A dlaczego pan tego nie zrobił dotychczas? — zapytał nagle Kazimierz.

— Bo... — i Michnik zająknął się.

— Pozwoli pan, że dokończę. Dlatego, że Józia nie pozwalała na to i zrezygnowała z każdej sposobności. Kazała panu milczeć wtedy, kiedy najsilniej pragnął pan mówić. Czy nie tak?

Michnik wbił wzrok w swój nieszczęsny kapelusz, który nie tylko obracał na wszystkie strony, ale gwałcił go i mietosił.

— Może po części to prawda — odrzekł z widoczną przykrością — ale jest to zupełnie zrozumiałe... Panna Józia zna mnie jeszcze tak mało, nie miała czasu i sposobności, by nabrać do mnie zaufania... Trudno więc wymagać, ażeby...

Na ustach Walczaka pojawił się sceptyczny uśmiech, który nie uszedł uwagi jego towarzysza.

— Niechże mnie pan nie ma za skończonego głupca! — zawołał żywo Michnik — Ja przecież wiem i rozumiem, że Józia, że panna Józia... Ale mam nadzieję, że moje uczucie zjedna ją z czasem dla mnie, że ona zechce zostać moją żoną.

— Panie — dodał nagle jakimś błagalnym szepcikiem — niech mi pan tej nadziei nie odbiera, bo ja tem tylko teraz żyję... Widzi pan, w moim życiu kobiety mało dotychczas, prawie żadną odgrywały

rolę... Te, które znałem, to ani wspominać o nich nie warto... Józia rozblęsnęła mi jak gwiazda, a ja wiem, że do gwiazd droga trudna i daleka...

Zapanowało milczenie. Z głosu Michnika, z jego oczu płonących był taki bezmiar miłości, tej, co jak siła fatalna i niszcząca niespodzianie człowieka napada i ujarzmia, że Walczakowi zamierały na ustach chłodne, rozsądne słowa krytyki.

Kazimierz postanowił jednak spróbować raz jeszcze, czy nie uda mu się rozdmuchać znowu w Michniku praktycznego rozumowania.

— Przypuśćmy — zaczął — że spełnią się marzenia pańskie i Józia zdecyduje się zostać pańską żoną... Czy zastanowił się pan jednak nad tem, że ona, chociaż jeszcze bardzo młoda, ma już jednak wyrobione przyzwyczajenia, upodobania, które przełamać będzie jej trudno, a może nie chciałaby nawet... Józia wzrosła w innym zupełnie środowisku, z natury jest płochą, błyskotliwą, a do tego tak była chowana, że jaknajmniej nadaje się na żonę dla nauczyciela wiejskiego. Niech pan powie sam, czy wyobraża pan sobie Józję jako skrzętną gospodynię, cichą, skromną pracownicę, która pracą swych rąk i mrowczym trudem pomaga mężowi dźwigać ciężar żmudnych obowiązków... Może przez kilka tygodni bawiłaby się nową dla siebie rolą, ale wkrótce znudziłoby ją to i zapragnęłaby się wyrwać z ram szarych, jednostajnych... I co wtedy?

— Zdam egzamin wydziałowy, postaram się o posadę w Krakowie, lub jakimś innem większym mieście... Będę dorabiał prywatnymi lecyami... Nie będzie jej brakowało niczego...

Walczak spojrział zdumiony.

— Co ja słyszę?! Pan porzuciłby wieś?!... Ależ to niepodobna! Przecież tyle razy rozmawialiśmy o tem, i wiem, jak głęboko tkwi pan sercem na wsi... Chłopi pana kochają i pan ich... Na każdym kroku znać pożytek pańskiej pracy... I pan zdecydowałby się to wszystko rzucić?!

— Dla niej — odszepnął młody nauczyciel.

— Ależ to znaczy: zwichnąć sobie zupełnie życie!

— Jeżeli ona nie zostanie moją — odparł głucho Michnik — to życie moje tyle będzie warte, co łachman zdarty i bezużyteczny...

Walczak powstał nagle z fotelu, oparł się ręką o biurko i bystro spojrział gościowi w oczy.

— Panie Władysławie! Ja żonę moją kochałem i kocham szalenie, gdyby jednak zażądała odemnie, abym zszedł z wytkniętej drogi, abym odstąpił celu mego, nie zgodziłbym się!

Michnik wzruszył ramionami.

— Ależ panna Józia niczego odemnie nie żąda!... Ach, gdyby zażądała chciała!... To ja sam gotów jestem uczynić wszystko, co będzie trzeba...

— Panie Władysławie! Ależ to szaleństwo istne, to panu szczęścia nie przyniesie! Niech pan stara się otrząsnąć, niech pan wyjedzie! Niech pan się zajmie jaką pracą, która...

Walczak przerwał, bo Michnik spojrział na niego wzrokiem człowieka, któremu prawią o lekarstwach na ból głowy, dalekich i niedostępnych, podczas gdy jemu nieznośny ból rozsadał skronie.

— Panie Kazimierzu, niech pan nie próbuje mi perswadować, bo to na próżno!... Może ja oszalałem, ale to już stało się!... Teraz mam tylko jeden cel... jedno pragnienie!... Przed losem swoim nikt nie ujdzie!...

— Tak, ma pan rację! Przed losem swoim nikt nie ujdzie i każdy jest kowalem własnego szczęścia lub nieszczęścia — odparł Walczak w zadumie.

— — — — —

Ładko sunęła łódź unosząc Józję i Ludwika. Promienie słońca igrały po powierzchni stawu, tworząc w tej cichej, stojącej wodzie koliska tęczyowych barw. Wokół była cisza, spokój, pogoda. Józia coraz powolniej, jakby półsenne, uderzała wiosłami o wodę. Na twarzy dziewczyny rozlał się wyraz jakiegoś tęsknego rozmarzenia. Oczy jej zapatrzyły się gdzieś w dal przed siebie i spoglądały, nie widząc nic oprócz obrazów własnej wyobraźni.

Usta rozchyliły się, jak płatki przepysznie rozkwitłego, purpurowego kwiatu. Józia zapomniała o swojej zalotności, o żartach, dąsach i przekomarzeniach, umilkła i zadumała się.

Z tem rozmarzeniem i z dumaniem było jej dziwnie pięknie. Sliczna, wiośniana twarz nabierała głębszego wyrazu i zyskiwała czar łagodności i słodyczy.

Różyczki widział ją tak cichą i spokojną po raz pierwszy. Podobała mu się teraz bardzo, a próżność i zarozumiałość szeptała do ucha miłe przypuszczenia.

Ludwik sądził, że to jego obecność działa na Józję. Zdawało mu się, że to pod jego wpływem i urokiem dziewczyna żywa, jak iskra i figlarna, jak chochlik, zmienia się w łagodne, ciche, rozmarzone stworzenie.